Przyjaciel Ludu.

Rok piąty. **No. 8.** **Leszno, dnia 25. Sierpnia 1838.**



Górecki Antoni. *)

Górecki Antoni, znakomity poeta polski, którego poezye w dzienniku warszawskim często były umieszczane, służył w wojsku. W czasie kampanii roku 1812 ozdobiony krzyżem legii honorowej, ma teraz przeszło lat 40. W poezyach jego wydaje się mocne uczucie, imaginacya żywa i silna; a lubo nie stanął na szczycie Parnasu polskiego, w drugim jednak rzędzie poetów znamienite zajmuje miejsce. Jako człowiek, ze wszech miar szacunku godzien. Szkoda, że dotychczas poezye jego nie zostały zebrane i drukiem ogłoszone.

*) Rycina wyjęta z fran. dzieła: *„Biographie des hommes du jour. Tom III. Paris* 1836."

Obrona Olsztyna.

(Koniec.)

II.

Promień wiosennego słońca zawisł na szczytach baszt Olsztyna; budzą się wojownicy, którym sen tak błogim był spoczynkiem po długich znojach oblężenia. Nie wielcy w liczbie, wstrzymali jednakże siedmiokrotny szturm Rakuszana. Już nie ujrzysz na całym widnokręgu wroga, czasem tylko, w dali czerwieniąca się łuna, oznacza, że w ucieczce, w któréj imię Karlińskiego, dowódzcy Olsztyna, jako postrach unosi, mści się za odniesione straty, rabunkiem i zniszczeniem siół okolicznych. Ale opuśćmy Rakuszana, również jak wszystkie bolesne obrazy, koniecznie się wiążące do samego imienia wojen, które w czasie bezkrólewiów Polskę szarpały. Wróćmy wśród piękne mury oswobodzonego Olsztyna, gdzie dzwon z wieżycy zwołuje rycerstwo przed ołtarze Pańskie, by dzięki złożyć Wszechmocnemu za ostateczne odparcie wroga; gdzie całe życie wodza i wojowników, w jeden hymn zwycięztwa się zlało.

Rycerstwo zbiera się przed kaplicą, wszystkich dygnitarzy okolicy policzysz tam do razu: Sędziów, wojskich, podkomorzych, cześników, wreszcie całą szlachtę okoliczną, lemieszowych wojaków. Przy bogatych pasach, wiszą karabele, jeszcze nie otarte z pyłu bitew; barwiste konfederatki, kryją podgolone głowy; zawiesiste wąsy, ocieniają twarze, surowe, jak na tych przystoi, co dopiero z śmiercią, na polu sławy, w zapasy chodzili.

Niezadługo przybywa Karliński; jednogłośny okrzyk: **vivat dux!** przyjął brata szlachcica, ukochanego wodza. Liczne troski zepchnęły już wszystkie włosy z męzkiéj jego głowy; oczy duże, nos orli, wąs wiekiem ośroniony, słodycz w spojrzeniu, a powaga i surowość w całéj wyniosłéj postawie, przy tém skromne rycerskie przybranie, oto jego obraz. Ale któż odmaluje tę gorącą miłość ojczyzny, rodziny, która zawsze piętnem była jego duszy, i wszystkich czynów życia.

Karliński zawiódł rycerstwo do kaplicy; zaczęto nabożeństwo od pieśni: „kto się w opiekę „poda panu swemu,“ którą codziennie przed walką, w czasie oblężenia, śpiewano. Potém nastąpiła msza; podczas ewanjelii dobyto szabel, a na niejednéj można było jeszcze dostrzedz krwi wroga. Po mszy odśpiewano **Te Deum**, wreszcie zakończono nabożeństwo modlitwą, odmówioną za poległych w obronie wiary i kraju. Pięknym i wzniosłym musiał być widok tych poważnych, bogato przybranych wojaków, których przemożny nieprzyjaciel, śmierć i zniszczenie w téj części Polski roznoszący, całą siłą przemódz nie zdołał; korzących się w przybytku Pańskim, z całą pokorą chrześciańskiego ducha.

Opuszczają kaplicę, podają sobie bratnie dłonie na znak wewnętrznéj roskoszy, którą serca gorzeją z zwycięztwa nad wrogiem. Nie jeden śle dziękczynne westchnienia, w stronę, gdzie widać z Olsztyna wieże przybytku Najświętszéj Maryi Panny Częstochowskiéj, patronki, królowéj polskiéj, jaśniejące złotemi promieniami słońca. Karliński wszedł w koło rycerstwa, przemówił krótko lecz treściwie: „bracia! Opatrzność nas „nie opuściła, wróg poprzestał się kusić o prze„stąpienie progów naszych; oby tak z całą naszą „ojczyzną było! Co do nas, o ile to ludzkiéj sile „przypisać można, ważna to zasługa, za resztę „podziękowaliśmy już Bogu. Niezadługo każdy „będzie mógł wrócić do rodzinnego sioła, nie„chaj w nim zastanie pokój i szczęście, podwojone, „jako nadgrodę, od czasu, kiedy je opuścił, by „nieść swą prawicę na usługę ojczyzny. Za„chowajcie drogą mi zawsze waszę życzliwość, „dziękuję za nią jako dotychczasowy dowódzca, „proszę o nią na przyszłość, jako dla waszego „brata. Zaszczyćcie dzisiaj progi mych komnat, „spełnimy zdrowie jeden drugiego; nie oszczędzi „się, co wojenna posiada spiżarnia.“

Chętnie usłuchano zaprosin wodza, i wnet zabrzękły karabele po dębowéj posadzce Karlińskiego mieszkania. Skromnie zastawiono stoły: każdy siadając, zrobił znak krzyża, odmówił krótką, łacińską modlitwę. Wesoło spożywano strawy, jakich Karliński mógł użyczyć, w dopiero wyswobodzonym zamku z oblężenia. Nie jeden puhar lipcowego rozgrzał głowy, zarumienił lica, rozwiązał, jak to mówią, języki. Żwawe toczyły się rozmowy, o wojnie, o korzyściach, wynikających dla Polski z związku z Szwedami, przez powołanie na tron Zygmunta; późniéj o ówczesnym hetmanie Janie Zamojskim, obrońcy wolności szlacheckich; o rozmaitych potrzebach krajowych; wreszcie o dopiero co odpartych Rakuszanach. Pan podkomorzy utrzymywał, że porażka pod Olsztynem zmusi Rakuszanina do zwrotu aż w swą własną krainę: Pan sędzia podzielał jego zdanie. Pan komornik przeczył zacnym sąsiadom, większe mając wyobrażenie o sile nieprzyjaciela. Tylko o tém on i wszyscy obecni mocno byli przekonani, że już o Olsztyn się nie pokusi, i że ich okolica, wolna od dalszych klęsk. Każda rozmowa i spór, które długo i długo się ciągnęły, kończyły się zawsze wyrazem uwielbienia dla Karlińskiego; jemu każdy szczerze zawdzięczał oswobodzenie zamku i okolicy, tylko jego moc duszy była w stanie, z małą garstką walecznych obywateli, tłumy wroga odepchnąć.

Wieczór piękny, cichy, rozłączył wodza z wojownikami. Karliński pożegnawszy towarzyszy, kazał zawołać do siebie swe jedyne dziecko, pociechę starego wieku, żywy obraz drogiéj żony, któréj pamiątkę świętą czcią otaczał. Lotem błyskawicy wbiegła dziecina do komnaty wodza, i wnet otoczyła drobnemi rączętami męzką pierś Karlińskiego. Jakżeż unoszącą była ta chwila, gdy ten aniołek, o lnianych włosach, niebieskich

źrenicach, któremi niebo w duszę rodzica się lało, tulił się do wodza, zestarzałego w boju, ztwardniałego w obozach, tak, jak się tuli w chwilach burzy drobna ptaszyna pod skrzydła sokoła, w powietrznych gdzieś sferach. Czystą i gorącą musiała być łza wodza, która w chwili przywitania spłynęła po siwych wąsach na jaśniejące czoło dzieciny. Była ona zarazem błogosławieństwem i chrztem moralnym, bo jakież mogło być dziecko takiego ojca, który umiał silną dłonią i myślą gromić nieprzyjaciela, a wnet łzy rzewności wylewać. Ileż wspomnień ubiegłego szczęścia wzbudziła dziecina w starym wojowniku; ileż nadziei budził ten uśmiech, tak wdzięczny, tak mdły, przy ciągłych pytaniach: czy już wieśniacy będą mieli pokój w swych chatach? czy już nie wrócą ci źli ludzie, co do taty strzelali? biednych dręczyli? sioła palili! Długo wiódł Karliński rozmowę z swém dzieckiem, serce ojcowskie użyczyło jeszcze nie jednéj rady, nie jednego uściśnienia. Chwile szybko zbiegały, zorza zachodnia przyświecała już półjasném, żółto-czerwoném światłem; kiedy niespokojna dziecina opuszcza kolana rodzica, ten tron niebieski na tym ziemskim padole; wybiega w lasek, za mury, gdzie więcéj miejsca do biegania, więcéj motylków do gonienia, gdzie tak mile śpiewają ptaszęta. Nie umiał wódz uskąpić téj tak niewinnéj roskoszy swemu lubemu dziecku; żegna, ściga wzrokiem, pozwala gonić za szczęściem!

Obowiązki wodza, odrywają Karlińskiego od lubego widoku: obchodzi mury i baszty, porozstawiane straże, zaleca pilność i baczność, choć nieprzyjaciel daleko. Odwiedza rannych, jednym nadgrody ziemskie, drugim wyższe gdzieindziéj wystawia; wszędzie pociechę, szczęście w sercach zaszczepia. Zaspokoiwszy swe czynności, wraca wódz do miejsca, zkąd poglądał na dziecinę, ale nic nie widać, nic nie słychać, zmrok roztacza już swe cienie; może wesoła dziecina kryje się tylko za grubym dębem, lub krzakiem leszczyny; Karliński woła, ale tylko dalekie echa wracają drogie mu imię. Mijają chwile oczekiwania, długie jak wieki, bo niespokojność dręczy serce ojcowskie; służba rozbiega się szukać zbłąkanego aniołka, a ciemność nocy pokrywa, jakby kirem strasznego przeczucia, męzkie serce Karlińskiego.

III.

Jeszcze zorza poranna nie zupełnie rozpłoszyła cienie nocy, a już rozlegał się w dali jakiś dziki dźwięk kotłów, szczęk broni, szelest orężnych rót; echo przynosiło go w mury Olsztyna, jak jakie ubiegłe wspomnienie. Ale coraz bardziéj wzmaga się, rośnie; jako szmer wzmagającéj się burzy na morskich przestrzeniach. Ruch powstaje w zamku; każdy wojownik bieży na swe miejsce, gdzie powinność wzywa. Karliński urządza, rozstawia, z troską w oku, ale silny głos jego, bo ojczyzna usług wymaga. Długo i długo samo ucho tylko drażnione, aż nagle jak czarna chmura, rozwijają się przed lasem zastępy Rakuszanów. Niepojmują wojownicy, zkąd wróg tyle razy odparty, znów się pokusza doświadczać szczęścia pod murami zamku. Polskie proporce, wieją na murach i basztach; wszędzie rzesko i ochotnie gotują się do odporu; jeden Karliński ponuro spogląda; na jego czole zawisła burzą brzemienna fala. Kapelan zamkowy zagrzmiał pieśnią: „kto się w opiekę;“ z wszystkich części zamku wtorowały silne i ostre głosy, jedynie pobożnością miękczone.

Wróg zaczyna postępować, oko może już rozróżnić rakuskie zastępy, ogarnąć ich liczbę. Przebóg! jakiż widok gromem podziwu uderza polskich wojowników; na czarném tle rót najezdniczych jakaś dziwna, ruchoma białość razi wzrok, pewnie to duch zaguby drogę do grobu im wskazuje. Ale z każdą chwilą, podziw się zmniejsza — gnębiąca boleść zajmuje serca — zasępia lica — jednym głosem rozpaczy odzywa się twierdza: „Dziecię Karlińskiego.“ Wróg ujął je w lesie zbłąkane, i z serca ojcowskiego chce zrobić bramę, którąby mógł zamek opanować. Polscy rycerze opuszczają bronie, zapalone lunty, w milczeniu czekają śmierci z rąk Rakuszana, Karliński spojrzał — zbladł — ale wnet twarz jego rozpłomieniła się jakimś nadziemskim ogniem. Nie ujrzysz na jego twarzy łzy, którąby gasiła piekło boleści, ale łatwo wyczytasz na dostojnych licach męża, okropną walkę uczuć ojcowskich do dzieciny, synowskich do ojczyzny. Oko jego tak natężone i w jeden punkt wbite, że zda się, piekielne powinnoby wstrzymać roty. Inaczéj jednakże się dzieje, zwolna postępuje, i zbliża się pod mury, jakby orszak pogrzebny dzieciny wodza, z rakuskich złożony zastępów. Mało chwil zostaje do stracenia: Karliński, z całym ogromem boleści wykrzyka: „ognia!“ głosem, który najtwardsze serce w prochby skruszył, na który całe nieba i piekła się składały. Był w nim krzyk, z tryumfem konającego męczennika, boleść Abrahama, gdy ofiarował Izaaka, jęk aniołów strąconych z raju. Echa drzemiące po skałach, oddać go nie umiały, błąkał się wśród nich, nieznany ni w niebie, ni na ziemi, zawisł nad ziemią, i jakby z jéj wnętrza uderzył w serca wrogów. Rozkaz ukochanego, ślepo słuchanego wodza, pierwszy raz został niewypełnionym. Wróg bez myślenia wstrzymał kroku; chwila zdumienia; lecz już znów postępuje. Żaden polski wojownik nie podnosi broni; stoją jak kamienne słupy, posępni, przygnębieni boleścią. Karliński powtarza rozkazy, znów bezskuteczne, bo każdy chętniéj dla siebie śmierci wygląda, jakby ją miał zadać niewinnéj dziecinie. Wróg się niewstrzymuje; już jest pod murami; dziecina, na przodzie prowadzona, poznaje ojca, uśmiech rozjaśnia płaczem zasępione jagody, wyciąga drobne rączęta, sądząc, że za

chwilę, pierś rodzica, zakryje ją przed wszelką przygodą!

Kiedy Karliński piorunnym odzywa się głosem: „pierwéj synem ojczyzny, niżli oycem byłem!“ porywa lunt konwulsyjnie drżącą ręką — podpala działo — odpowiadają inne — rykła cała twierdza — huk piekła wstrząsł okolicą — czarny dym zakrył widnokrąg — anioł śmierci przeleciał z jękiem nad najezdnikami i obrońcą Olsztyna!

1go Sierpnia 1838. K. M.

Listy z narodowéj pielgrzymki.

List pierwszy.

Za chwilę mam wyruszyć; na wsiadaniu chwytam pióro, aby coś napisać o przedsięwziętéj podróży. — Wszakże przedmiot, który mnie do niéj powołał, interessować będzie publiczność, zwłaszcza, że droga, którą się puszczam, żadną dotychczas nietknięta nogą, prowadzi do tajemnego skarbu, o któren nikt się jeszcze nie pokusił, chociaż on dla nas tak ważny, chociaż on przy nas tak blisko!.. Mamy go w naszéj Wielko-Polsce! Wielko-Polska też to właśnie ma być miejscem mojéj podróży, celem moich badań lud, jego podania, jego powieści.

Wieleby o tem mówić przyszło; ale zatrzymam się, aż do pierwszéj stacyi; tam się szeroko rozpiszę o ważności przedsięwzięcia, o planie podróży, o rodzajach powieści i podań. Dziś ani czas, ani myśl po temu. Jabym chciał wsieść, i ruszyć i gonić za wyobraźnią, która mnie w drodze wyprzedziła; chciałbym lotem ptaka pospieszyć, a tu jeszcze chwili cierpliwości żądają!.. Tę nudną, długą chwilę przygotowania chciałbym przespać, przedrzymać; tak mnie niecierpliwi!.. Ot pieśń sobie pielgrzymią zaśpiewam; może nią skrócę nudy, pożegnam miejsca znajome, powitam nieznaną krainę, do któréj dążę!

Wyjazd.

Pieśń wędrowca.

Hej tu mój Janie! – żywo — bez zwłoki
Wyprowadź konie — przytrocz tłomoki,
Przypinaj do nóg ostrogi!
Żywo mój Janie! potrzymaj strzemię,
Rzućmy co prędzéj niewdzięczną ziemię,
Gdzie same ciernie i głogi!
Gdzie pod mą stopą pielgrzymią, błędną,
Trawy pożółkną — kwiaty uwiędną,
I serce mroźny chłód zwarzy;
Gdzie miłość dusze poi goryczą,
Gdzie chwile życia łzami się liczą,
Troski zmarszczkami na twarzy!
Próżno tu pielgrzym do bram kołace,
Zawarła duma świetne pałace;
Duma, na nędzy głos głucha;
Próżno tu śpiewak pała natchnieniem,
Próżno gmin budzi ojczystém pieniem;
Gmin pieśni jego nie słucha!
A więc mój Janie! żywo, bez zwłoki,
Wyprowadź konie, przytrocz tłomoki,
Niech ztąd co prędzéj wyruszę!
Dobrze mój Janie!.. potrzymaj strzemię,
Rzućmy co prędzéj niewdzięczną ziemię,
Gdzie zimne serca i dusze!
Spieszmy; za chwilę kraj nas powita,
Gdzie lepsza przeszłość z grobu wykwita,
Kraj cudów — czarów — uroku;
Pamięć, co skarbu przeszłości strzeże,
Zwoła tam króle — dawne rycerze,
Z dawniejszych dziejów pomroku!
Cienie czarowną zaklęte władzą,
Powstaną z mogił i przeszłość zdradzą,
Ukrytą w tajniach grobowych;
I ujrzym stare — szorstkie postacie,
O długich brodach, w ojczystéj szacie,
W hełmach i giezłach stalowych!
Ujrzym tam kordy w mężkiéj prawicy,
Usłyszym pieśni Boga Rodzicy,
Szczęk broni — kopyt tętenta:
Ujrzym, gdzie ziemia krwią ojców zlana,
Życiem kupiona, kośćmi zasiana,
Męzkie ich cnoty pamięta!
I znowu ujrzym w świetle miesiąca,
Jak Gopła fala przejrzysta, drżąca,
Chórem się dziewic zabieli; *a*)
I znów usłyszym, jak ciche dźwięki,
Czarownéj, nocnéj, dzikiéj piosenki,
Zabrzmią po Gopła topieli!
Głos jéj popłynie po śnieżnéj toni,
Myśl za nią w ciemną przeszłość pogoni,
Iskrę w pomroku rozżarzy:
Wśród broni szczęku — wśród bitew wrzawy,
Wśród pieśni dawnéj wielkości, sławy,
O przyszłych losach zamarzy!
Daléj więc — daléj!.. im pierwéj stracę
Z oczu, te świetne, dumne pałace,
I ten mój ciasny zakątek;
Tém pierś swobodniéj odetchnie Janie,
Tém rychléj stopa pielgrzymia stanie
W krainie drogich pamiątek!

Ryszard B...

Wspomnienia podróży, odbytéj roku 1837 przez Annę Nak.....

(Ciąg dalszy.)

VII.

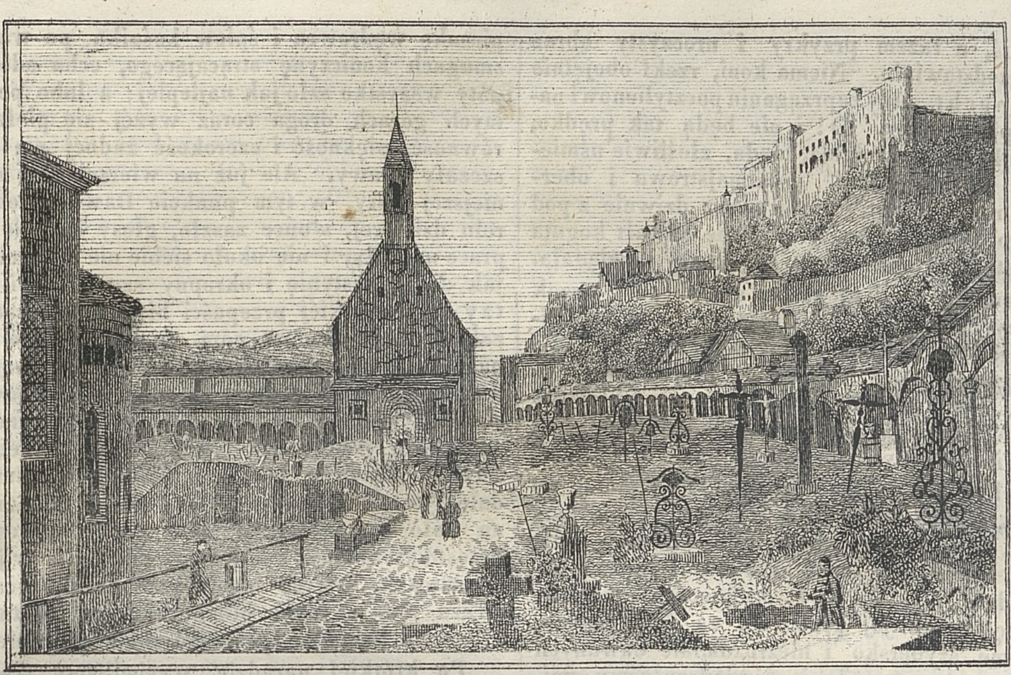
Noc w tyrolskich górach.

Pozbawiona sposobności zwiedzenia gór lodowatych i śnieżnych, których nikt z podróżujących w Szwajcaryi nie pomija, starałam się, nagrodzić to sobie, obracając drogę moję na Tyrol, który tak rzadko ziomkowie nasi odwiedzać zwykli, i nie żałowałam tego, poznawszy ów kraj, tak w piękności bogaty, tak wygodną dla podróżnych opatrzony drogą, a który jednak w swém przebyciu tyle trudności do pokonania przedstawia.

Wyjechawszy z Wiednia w końcu Czerwca, stanęłam wraz z moją towarzyszką podróży, panią K... i jéj małym synkiem, bez żadnéj przygody w Saltzburgu; położenie tego znacznego miasta, jest prześliczne; rzeka Saltza przedziela go na dwie części, pięknym ozdobiona mostem. Dwie góry, zupełnie do siebie podobne, na których dwa, równie sobie podobne starych zamków zwa-

---

a) *Bogunki — Switezianki litewskie.*



Cmentarz w Saltzburgu.

liska się wznoszą, stoją z obydwóch stron rzeki, jakby dwa olbrzymy, odwiecznie miastu nisko pod niemi roztoczonemu grożące, szeroki pęd nurtów Saltzy umyka pomiędzy niemi z łoskotem, i równie jak my, chwilowo tylko dzikiem i kunsztownym pięknościom Saltzburga hołduje.

Przyrodzenie obsypało obficie okolice tego miasta darami swémi; widziałam to z opisów, równie jak i z doświadczenia, jadąc przepyszną bitą drogą po dolinach, tysiącznémi odcieniami zieloności, staranność i urozmaicenie uprawy poświadczającémi; ozdobioną i wszędzie owocowémi drzewami zasadzoną; a im więcéj przyjemności téj podróży ocenić umiałam, tém bardziéj ubolewałam nad krótkością mojego pobytu w tém mieście. *) Po krótkim wypoczynku i dobrym obiedzie, w bardzo porządnéj oberży, na rynku będącéj, wyjechaliśmy z miasta, udając się w dalszą podróż, szczególną drogą; była to długa i wysoko sklepiona brama, w skale wykuta, całą przebitą górę wskroś przejmująca. Trąbka naszego pocztyliona, dała się raptem słyszeć w pośród tego małego Tunelu, a pieśń jakaś narodowa, którą pięknie odgrywał, miłe na naszych, obcych jéj umysłach, sprawiła wrażenie. Długośmy się przysłuchiwały tym melodyjnym, a czasem i groźnym tonom. Echo skalistej drogi, ulubioną zapewne Saltzburczykom zwrotkę stokrotnie powtarzało, a my wjechawszy potém w zarośla i wzgórzyste lasy, letniém i pachnącém powietrzem ukołysane, z dumania w marzenie, a z tego w sen pokrzepiający mimowolnie przeniesioneśmy zostały. „Mes dames, vos papiers!“ krzyknął raptem do kocza jakiś już nie młody, rubaszny, ale dosyć grzeczny człowiek, który nas nie mało jednak swém nagłém wołaniem i ukazaniem się zadziwił. Odpowiedziałam mu stósownie na jego zapytanie, ciekawie go nawzajem badając o to, co jego żądanie znaczy i dla czego wśród kraju celna komora się znajduje? Dowiedziałam się, że nam w tém miejscu wąziutki klinik Bawaryi przejeżdżać przyjdzie i zezwoliłam chętnie na zaplombowanie wszystkich naszych rzeczy, niewyłączając szkatułki i torb, codzienną bieliznę zawierających, co się powszechnie czyni dla uniknienia rewizyi, równie na bawarskiéj jak i na austryackiéj komorze, o dwie stacye tylko od téjże oddalonéj. Grzeczni celnicy, spiesznie i bezinteressownie nas wyexpedyowali, zapewniając, że jeszcze przed zachodem słońca w Tyrolu będziemy, i niewygodne plomby pozbywszy, spokojnie tam, gdzie nam się podoba, nocować będziemy mogli. Nie tak się jednak stało, a pomimo obietnic celnika i istotnie małéj odległości miejsca, dalsze owéj nocy przygody stały mi się nadto pamiętne, ażebym je tu zamilczyć miała.

Wkrótce po owém zaplombowaniu, stanęliśmy na bawarskiéj stacyi, w miasteczku Reichenhall. Dzikie jego położenie, śniegiem okryte góry, rudery na każdym szczycie skał i rozwaliny wśród miasta, po kilku pogorzelach, dziw-

*) Szan. autorka nic wspomniała nic o osobliwościach tego miasta, z których najważniejsza, cmentarz, wiernie na obrazku oddany. *P. R.*

ny jakiś, a razem przykry i uroczysty obraz nam przedstawiało. Niema koni, rzekł obojętnie **hausknecht**, przy zaprząganiu pocztylionowi naszemu pomagający. O! i nie będą tak prędko, wrzasnęła cierpko, chuda, blada, złośliwie uśmiechająca się gospodyni, pocztmajstrowa i oberżystka razem, któréj żółta twarz dziwnie z pod czarnego ubrania głowy, zupełnie kształt koguta z rozpostartemi skrzydłami mającego, wyglądała.

Niema koni? a to jakim sposobem? wszak podróżny czekać nie powinien, zapytałam spokojnie. Niemasz, i kwita! krzyknęła znowu, już i tą uwagą obrażona Bawarka, róbcie sobie, co chcecie, ale koni nie będzie; aż za kilka godzin. Nie było nic do czynienia, jak wysiąść i cierpliwie na przyobiecane nam konie oczekiwać.

Przybyliśmy do **Reichenhall** o piątéj po obiedzie, stacya austryacka **Unken**, gdzie nam plomby odjąć miano, była tylko o dwie mile odległa, najdłuższy dzień w roku, i piękna pogoda zdały nam się być dostateczną rękojmią, do szczęśliwego jéj przebycia za dnia jeszcze, a pomimo szydersko i niezrozumiale dawanych nam przestróg gospodyni, oświadczyłyśmy jéj, że daléj pojedziemy, lubo już po kilkogodzinném nas zatrzymaniu, słońce ku zachodowi się nachylało. Omylona w nadziei pomnożenia swoich dochodów naszym noclegiem chciwa kobieta, już złości swojéj ukryć nie mogła, a gdy, dla nalegania o prędsze zaprzęganie, na dół zeszłam, doprowadziłam gniew jéj do najwyższego stopnia, pozwoliwszy sobie śmiać się serdecznie, na widok koni, które po jednemu z różnych stron sprowadzano. Ukazał się najprzód rosły anglizowany rumak, stał obok niego mały krępy podjazdek, daléj postępowały dwie chude wywłoki, maścią i postacią zupełną z sobą sprzeczność mające. Odezwała się wtedy w nas wszystkich właściwa nam chęć podchwytywania śmieszności, a lubo nas nikt nie zrozumiał, łatwo jednak żartobliwe nasze spostrzeżenia wytłómaczyć sobie można było. Nie uszły więc one uwagi złowróżbnéj sybilli naszéj, która w całéj okazałości swojego gniewu przed nami wystąpiła, a ognisty błysk jéj oczu, czarny kogut wznoszący się na szczycie czarniejszych jeszcze warkoczy, usta zapalczywie drżące, wszystko to niepospolitą burzę nam przepowiadało; jakoż pożegnała nas krzykliwym i niby proroczym głosem, właśnie kiedyśmy wsiadały, mówiąc: jedźcie więc, ale zajedziecie!... Moja towarzyszka podróży zbladła, słysząc te wyrazy; czyż się temu dziwić można, ona była matką, a jéj dziecię, niebezpieczeństwo nocnéj podróży naszéj dzielić z nami miało.

Opuściwszy Reichenhall, wjechaliśmy w ogromnie zacienione górami wąwozy, ale póki jeszcze słońce ostatnie swe promienie o ich śnieżne wierzchołki odbijało, póki przed jego zachodem, hamerników młoty i koła mnogich młynów na rzece słyszeć nam się dawały, póki piosnkę wędrowca i śpiew kośnika, po wązkich smugach koniczynę strącającego, echa odbijały, póty wszystko szło jak najlepiéj; a lubo po stromych górach droga coraz wyżéj się pięła, jéj równość, piękność i szerokość żadnéj nie dopuszczały obawy. Ale już na wierzchołku znaczniejszej góry, w tym punkcie Bawaryą od Tyrolu dzielącéj, słońce zaszło, głosy ludzkie i ich prace umilkły, i nic około siebie nie widzieliśmy, jak dziką pustynię i okropny szum rzeki **Saltzy**, w głębokiéj przepaści bieg swój toczącéj i zakręt drogi wprost nam wjazd do téjże przepaści wskazujący; wtedy to wspomnienie złorzeczącéj nam Bawarki, żywo w nas odnowione zostało; jeszcześmy się z góry spuszczać nie zaczęli, a już bardzo ciemno było. Wtém pocztylion zsiada z konia, i oświadcza nam, że daléj jechać nie może, póki drugiego hamulca na koło nie założy, a ja o tém na stacyi nie przestrzeżona, nie opatrzyłam się tylko w jeden. Bawarczyk, wierny swéj pani naśladowca, nie zważa ani na moje prośby, ani na obietnice, i o jednym hamulcu spuszczać się z góry niechce.

Po krótkiéj naradzie, wysiedliśmy wszyscy z powozu, śpiące dziecię niosła służąca, ja zaś z moją towarzyszką postępowałam ostrożnie za próżnym koczem, który nakoniec przez pocztyliona po obiecaniu mu znacznéj nagrody, najwolniéj z góry, prawie prostopadłéj, sprowadzonym został.

Straszna to była przeprawa! wątła poręcz, chroniła nas jedynie od przepaści, w którą jedno silnéj ręki uderzenie, mogło nas było w okamgnieniu powtrącać. Nurt bystréj rzeki i strumieni, często drogę naszę przerzynających, daleki odgłos grzmotów i częste błyskanie, pasmo śnieżnych gór, jak rząd widm olbrzymich strwożonym oczom naszym niekiedy się ukazujące, wszystko to pomnażało nasze niebezpieczeństwo, trwogę i niespokojność naszę do ostatniego stopnia powiększając. To położenie trwało więcéj, jak dwie godziny; ale ten, co najdrobniejszéj istoty, równie jak i najszczytniejszego utworu swego przeznaczeniem kieruje, nie dozwolił, ażeby trzy słabe niewiasty i słabsze jeszcze od nich dziecię, w tych dzikich przepaściach zaginąć miały. Już cokolwiek z ciemnością nocy i spadzistością drogi oswojona, mniéj tych, jak złych ludzi obawiać się wtedy zaczęłam, ile żeśmy właśnie w najtrudniejszém do przebycia miejscu, kilku wędrowników spotkały, których zjawienie się wśród nocy na pograniczu, nieprzyjemne na nas wrażenie zrobiło; ale oni spokojnie nas minęli, i równie jak my, prawie tylko domyślając się drogi, spuścili się z góry i znikli w zaroślach niebawnie. Ciemność i błyskawice coraz się wzmagały, ostrość skalistego żwiru nogi nasze kaleczyła, dziecię się nakoniec obudziło, a idąc z nami, opóźniało nasze kroki; cicha modlitwa i westchnienia ufności pełne, były jedyną bronią moją w tak niebezpiecznem położeniu. Aleź

o Boże! cóż za niespodziana radość, co za widok dziwny i osobliwy zakończył nasze cierpienia. W najprzyjemniejsze światło, jakby promienie xiężyca, przy ziemi istniejącego, w jedném oka mgnieniu ową dziką pustynię w czarujący krajobraz przeistacza; strach i obłąkanie nasze, w radosne uczucie zamieniając. Droga i wąwoz cały, z obódwóch stron gęstemi krzakami obrośnięte, okazują nam się przy nowym zakręcie drogi, najżywszym światłem jaśniejące, wszystkie te krzewy tysiącem świętojańskich robaczków okryte, które w południowych krajach tak świecą, że je jak małe latarki używać można, przedstawiając czarującą illuminacyą, okazują nam, nietylko już daleko łagodniejszą spadzistość drogi, ale i koniec góry i w oddaleniu migające się światła austryackiéj stacyi, a tém samém koniec naszych niebezpieczeństw i trwogi. O jakże mi są miłe odtąd te maleńkie istotki, tyle wtedy w serce moje słodyczy, ile w zaciemniony widokrąg światła wlewające! Jakże żywo dotąd jeszcze przedstawiam sobie radosne przez nich wybawienie naszego uczucia! Już szara na widokręgu wstęga zbliżenie się jutrzenki zapowiadała, kiedyśmy do owéj austryackiéj stacyi przybyli. Nie mało naszém męztwem zdziwieni pocztmistrz i nawpół śpiące służące, dobrze nas pomimo spóźnionéj pory przyjęli; a wnet miękkie łóżka niemieckie, dozwoliły nam znaleść w śnie głębokim, zupełne naszych nocnych trudów zapomnienie.

(Koniec nastąpi.)

O ogrodownictwie angielskiém, holenderskiém i niemieckiém.

(Wyimek z rozpr. o pięknćm ogrodownictwie.)

Narody pobratymcze Anglików, naśladowały ich wprawdzie, lecz wyrównać im nie zdołały dotąd. Na czele ich wspomnieć należy Szkotów, których ogrodownictwo VIgo wieku sięgając, powstało pod błogim wpływem klasztorów, co nietylko wiarę świętą gruntowały wśród lodów północy, lecz szczepiły zarazem wszelki przemysł i oświatę. Wdzięczność dla tych dawnych zakładowców cywilizacyi stała się chlubą dla potomków; gdy wiara nawet się zmieniła, jeszcze wyspiarz Hebrydów szanuje zwaliska dwunasto-wiekowego opactwa Jeolmshill, i wskazuje ślady pięknego klasztornego ogrodu. Pod tym względem Polska podobną jest do Szkocyi, gdyż winna będąc klasztorom religijną oświatę, opis dziejów, początki przemysłu, rólnictwa, nakoniec i ogrodownictwa, a nakoniec wiarę pierwotną przechowawszy, tém święciéj pamięć ich z wdzięcznością zachowa i uczci.

Szkoci uznają, że Lord Kames, około połowy przeszłego wieku, najwięcéj się przyczynił do upięknienia ogrodownictwem zachwycającéj ich ojczyzny; w nowszych czasach cytują mularczyka Jema Ramsaya, który tak głęboko umiał uczuć piękności natury, że, mimo upośledzenia w jego wychowaniu, stał się najsławniejszym założycielem ogrodów w Szkocyi. Szczególniéj się on odznaczył upodobaniem swojém do zakreślania potrójnego oddalenia w każdym krajobrazie; tak to zawsze prawdziwy geniusz dźwignie się, kiedy go wstrzymuje jedna tylko zapora ubóstwa i gdy w nim pała żądza szlachetniejsza od chęci dostatków, żądza i pewność sławy.

Irlandya, ujarzmiona i uciemiężona przez Anglików, nie znała powabów życia, zawsze obcych niewoli, i dla tego też ledwie od początku XVIII. wieku zakwitło w niéj ogrodownictwo, wprowadzone przez D. Delaniego, przyjaciela Popa.

Anglicy przenieśli dopiero na końcu zeszłego wieku ogrodownictwo do swoich zamorskich kolonij; na przylądku Dobréj nadziei jest ogród rządowy, przez Holendrów już około połowy XVII. wieku założony. Dziś widzimy ogrody angielskie nie tylko w Ameryce, ale i w obu Indyach i w nowéj Hollandyi. Na początku XIX. wieku założył gubernator Malty, pan Balls, przy każdéj wśi ogród publiczny, aby ubóstwu zapewnić pracę i utrzymanie, a dzierżawcom sąsiednim dobrych nasion dostarczać. Oby ten przykład więcéj naśladowców na kontynencie znalazł! Nie pominiemy Indyów bez wspomnienia ogrodów Kalimai, przez cesarza Schawa-Jehana na początku XVII. wieku założonych: po nich, co niegdyś czterdzieści milionów kosztowały, ujrzysz jeszcze ruiny, blisko miasta Delhi.

Holendrzy, choć tak blisko spokrewnieni z Anglikami, nie mniéj od nich różnią się gustem w ogrodownictwie, jak w poezyi. Naród ten, do wszelkich czynów zaprawny, co ojczyznę wydarł morskim bałwanom, a później obcéj przemocy; który jak rozłożysto-ramionny polip okręty swemi najoddaleńszych stref sięgał, umiał zawsze cenić i wolność i szczęście swoje. Tak to admirał holenderski laurami okryty, wracał do domowéj zaciszy, by używać tego szczęścia, które dla całéj okupił ojczyzny: wcale różna ta spokojność Holendra od zaciszy domowéj Anglików; bo jego nie suszy duma, ni żądza znaczenia, nie toczy go zgryzota zawodu długo pielęgnowanych nadziei: jemu ojczyzna jest tylko matką, a wielkie czyny jedynie dowodami synowskiéj miłości. Dla Anglika zaś ojczyzna jest rodzicem sławy i dumy narodowéj, a dzielność jego świadczy, że godnym staje się synem takiego ojca. U Batawów więc miłość ojczyzny na równéj szali jest z dumą narodową Bretonów. Z tychże powodów wszystko w około Holendra odróżnia go od Anglika, bo on jest ludzkim i towarzyskim, od świata nie stroni, dom ma zawsze otwarty, kocha się w sztukach pięknych, stroi komnaty swe rynsztunkiem w boju zdobytym, muszlami i kwiaty przywiezionemi z dalekich wędrowek. Wreszcie i ogrodownictwo

holenderskie inną cechę przybiera; nie trzeba mu posępnych widoków i dalekich samotnych przechadzek angielskiego parku: kilka prostych ganków, mnogiemi kwiaty osutych, wabi oczy przyjaciół: nad kanałem, co dom oblewa, wznosi się zielem obrosła altana, a przed nią naturalny kobierzec w najpyszniejszych zakwita kolorach. Jakżeż piękne były te kwiaty, które swym blaskiem natchnęły malarzy i stworzyły ten rodzaj tak skromny, a tak powabny, na wielkiém tle malarstwa. Miłość kwiatów i ogrodów, najdawniejszych sięga czasów u Holendrów, i zdaje się według świadectwa uczonych, że poprzedziła nawet wojny krzyżackie, które gdzieindziéj pierwsze wyobrażenia kształtnych budowli i ogrodów zaniosły. Później zaś sława kwiecistego Harlemu po całéj kuli ziemskiéj się rozeszła.

Dziwną jest rzeczą, jak narody, które byt swój z dawnego wywodzą źródła i w ciągłym postępie czasu oń walczą, przyjmują cechę właściwą, odrębną, i że tak rzekę, jednostronną; a gdy się przenoszą zwycięzkie w inne strefy, wtłaczają podbitym znamiona wcale im obce; dowodzą tego pod politycznym i socyalnym względem Hiszpania, Francya, Anglia, oraz i Holandya. Pod względem ogrodownictwa nawet przekonamy się o tém, widząc po wszystkich koloniach holenderskich w Indyach, od kilku wieków zakładane schludne holenderskie ogródki, wiejskie domy, kanałami oblane. Hawanna byłaby zdrowszą siedzibą dla Europejczyków, gdyby powietrza nie truły wyziewy mnogich kanałów, naśladowanych z holenderskich ogrodów.

Stolica Holandyi, Haga, otrzymała od ogrodników przydomek: „najpiękniejszéj wioski w Europie.“ O belgijskiéj Bruxelli wspomnę szczególne widowisko, które w niéj Evelyn roku 1641 widział: był to płot z samych fontan złożony; nigdzie w czarodziejskich powieściach wzoru tego dziwnego pomysłu nie znalazłem.

(Koniec nastąpi.)

O jedności kościoła.

(Dzieło z XVIgo wieku, przez X. Piotra Skargę.)

Powszechna to a fatalna czytelnictwa naszego wada, że czytamy raczéj książki cudzoziemskie, niż swoje. Zajęci zwłaszcza literaturą francuzką, nie mamy nawet czasu, wziąć się szczerze do polskiéj: więc z domowych dzieł nie tylko dawne, ale nawet Stanisławowskie mało kto otworzy. Nietylko o Reju, Kochanowskich, Górnickim, Skardze, Wujku, że ani wspomnę naszych łacinników, ale też o Naruszewiczu, Krasickim, Trembeckim, Karpińskim, ogół polskich czytelników tyle prawie tylko wie, ile się dowiedział w szkołach, albo chyba w dorywczém i przypadkowém tych pisarzy przerzucaniu. Trudniéj między nami o takiego, coby nie znał któregokolwiek z główniejszych płodów Kornela, Rasina, Woltera, Russa i t. d., niż o takiego, który n. p. wszystkie dzieła Krasickiego (wybieram pisarza najpospolitszego) choć raz całkowicie i pilnie przeczytał. Tak jest nie wątpliwie; a jednakże tak pozostać na żaden sposób nie może, jeżeli chcemy, żeby literatura miała u nas rzeczywiście znaczenie; jeżeli mówię chcemy, żeby była nie marném słowem, nie zabawą samotnych tylko i rzadkich piśmienników; ale krajową potęgą, i jednym z walnych życia narodowego żywiołów. Nie można wszakże téj zmiany wyglądać, póki wprzód, jak to jest świętą dla nas powinnością, nie zaprzemy się cudzoziemczyzny; póki zwłaszcza tego francuzostwa raz sobie z głowy myślą rozumniejszą nie wybijem. Niemasz wcale dla Polaka wstydu, niewiedzieć co tam napisze jakiś pan Balzac, Dumas, Hugo, albo Janin; ale dla każdego światłego jest wstyd wielki, a dla literata jest nawet hańbą, nie przeczytać i nieznać dobrze tego, co napisał którykolwiek ze znakomitych ojczystych pisarzy. Kto chce być razem Polakiem i Francuzem, czy to w literaturze, czy w czémkolwiek, niech będzie pewien, że nie będzie ani jednym, ani drugim, tylko jakimś niedorzecznym i niepoczesnym mieszańcem.

Dla zaradzenia owéj niewiadomości o domowych swoich autorach, dobrzeby, żeby pisma peryodyczne, tak wzięte, jak n. p. Przyjaciel Ludu, dawały opisy i wyjątki różnych znaczniejszych, choćby wcale nierzadkich pod względem bibliograficznym dzieł polskich, osobliwie zaś dawnych. Czyniąc to z trafnością, smakiem i potrzebną nauką, możnaby łatwo między ogółem publiczności i lepszą znajomość ojczystéj literatury i razem gust do czytania rozkrzewiać. W téj to ja myśli, i nim się ku temu poruszą zdatniejsi, przynoszę teraz wiadomość o jedném dziele Skargi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. *Ciechański*.)